



Ogień w kominku zaczął dogasać. Smugi światła bezwładnie przebiegały po pograżonym w półmroku pomieszczeniu. Stojący w rogu zabytkowy zegar z kukułką spokojnie tykał, odmierzając upływ czasu. Lubilem stary styl i dlatego właśnie w taki sposób nakazałem urządzić ten pokój. Przypominał mi o przeszłości. O latach kryzysu, upadku, zagłady. O tej całej beznadziejności dnia codziennego, która cechowała tamten okres. O twarzach ludzi żywych, ale tak naprawdę martwych, dla których liczyło się tylko dziś. Tylko żreć i żyć, jak to zwykł mawiać jeden z proroków mojej młodości. Dobrze pamiętam te czasy, w których pogoń za chwilowym szczęściem, za pieniędzmi, za przyjemnością niszczyła całe rodziny, społeczeństwa i narody. Zero wyższych wartości...

A jednak żaden kryzys nie trwa wiecznie. Gdy człowiek osiąga dno upodlenia fizycznego i duchowego, ma już tylko dwa wyjścia — albo zdechnąć jak zwierzę, czyli tak jak żył dotychczas, albo też podnieść się oraz przypomnieć sobie to, kim jest, skąd pochodzi i dokąd powinien zmierzać. Potem zostaje już tylko walka. Walka na śmierć i życie. Tylko w ten sposób można uratować swoje ciało i duszę, tak głęboko doświadczone zarazą materializmu, nihilizmu i antykultury. Miałem tę przewagę, że nigdy się temu nie poddałem — choć nie przeczę — były chwile zwątpienia. Tamte lata nauczyły mnie być twardym i asertywnym. Od zawsze potrafiłem odmawiać. Zarówno wówczas, w podstawówce (działającej jeszcze w systemie kofłatajowsko-stalinowskim), gdy rówieśnicy nakłaniali mnie do próbowania papierosów, jak też później, gdy narażony byłem na wylewające się z plakatów, billboardów, ekranów telewizorów i komputerów przekleństwa golizny i łatwego życia na kredyt. Słowem wszystkiego tego, co odciągało człowieka od prawdy, dobra i piękna, odbierało mu wolność, czyniło niewolnikiem w złotej klatce. Tak, byłem na to odporny i czuję z tego powodu dumę. Postawy tej nauczyła mnie matka — święta kobieta, której nigdy nie zapomnę. Życie jej nie rozpieszczę, a jednak dobry Bóg okazał łaskę i wezwał ją do siebie, zanim zaczęło się najgorsze. Oszczędził jej widoku wszechobecných sodomitów, gwałcących Polki Murzynów i Arabów oraz holokaustu tysięcy nienarodzonych dzieci.

Tak, to wszystko się wydarzyło, dawno temu. Ale to już przeszłość — przeszłość, do której nie powinniśmy nawiązywać, ale o której jednocześnie powinniśmy pamiętać i stale wyciągać z niej wnioski na przyszłość. *Zła historia jest matką złej polityki.* Żeby było zabawniej, hasło to sformułował wyjątkowy szkodnik antypolski tamtej ery, Bronisław Geremek. Człowiek współodpowiedzialny za to, co zaszło, choć sam nie dożył efektów swojej działalności. A szkoda, bo ładnie komponowałby się wraz z innymi zdrajcami podczas słynnego „dnia sznura”. Zginął tak

jak żył – w wypadku samochodowym z głową prostytutki między nogami. Większość tamtych elit (później wiszących na dorodnych polskich bukach i dębach) prowadziło się w ten sposób. Między innymi dlatego przegrali.

Nagle ocknąłem się z letargu. Pomieszczenie, w którym siedziałem, wynurzało się już z szarości. Majowe słońce wschodziło coraz wyżej, oświetlając najpierw moje dłonie, potem szyję i w końcu twarz. Z trudem odwróciłem się do promyków. Czułem ciepło. Bardzo przyjemne ciepło. Po nocy zawsze wstaje dzień i to chyba też symboliczne w kontekście tego, o czym myślałem jeszcze przed chwilą.

Z sąsiednich pomieszczeń dobiegała coraz głośniejsza krzątania. Czyżby to już ta godzina? Kątem oka spojrzałem na zegar. No tak – 7:42. Za godzinę z okładem zacznie się uroczystość, którą chciałem obejrzeć. Natalia zapewne już skończyła przygotowywać śniadanie i za chwilę tutaj wejdzie. Nie myliłem się. Drzwi automatyczne zostały otwarte. Usłyszałem miarowe kroki, po czym stanęła przede mną młoda pielęgniarka.

– Szczęść Boże, Panie regencie – powiedziała, wykonując nieznaczny ukłon. – Jak Pan dzisiaj spał? Widzę, że znów wstał Pan wcześniej.

– Szczęść Boże – odpowiedziałem z uśmiechem. – Daj już spokój z tym regentem. Tyle razy prosiłem cię, abys mówiła mi po imieniu.

– Przepraszam, Panie Danielu. Pan wie, że to z szacunku. Pan tyle dla nas zrobił, tyle wycierpiał...

Spuściła wzrok na podłogę.

– Panie Danielu, to naprawdę zaszczyt dla mnie, że mogę się panem opiekować.

Bez wątplenia była piękną kobietą. Wesołe, piwne oczy i długie, kasztanowe włosy. Do tego szczupła budowa ciała i inteligentny wyraz twarzy. Lubilem ją.

– Dziękuję, proszę nie przesadzać z pochwałami, bo robi mi się głupio. A co do Pani pytania – dobrze mi się spało. Przyznam, że ostatnio sypiam coraz lepiej. Zaczyna mi się to podobać, a skoro tak, to chyba powoli szykuję się do naprawdę długiej drzemki.

Mówiąc to, uśmiechnąłem się z lekkim przekąsem i spojrzałem jej prosto w oczy. Zmarszczyła brwi.

– Proszę nawet tak nie żartować. Jeszcze będziemy tutaj razem świętować pańskie setne urodziny! – odparła z autentyczną troską w głosie.

– No dobrze, a cóż to dzisiaj mamy na śniadanko? – zapytałem, zmieniając temat, którego z pewnością nie chciała kontynuować.

– Pana ulubiona jajecznicza z chlebem oraz kubek gorącego mleka z kakao – odpowiedziała, kładąc tacę na blacie mojego wózka elektrycznego. – Smacznego.

Usiadła w fotelu za mną. Wiedziała, że nie znoszę, gdy ktoś nade mną stoi, a zwłaszcza, gdy patrzy jak jem. Na szczęście nie było ze mną jeszcze tak źle,

żebym nie dawał rady trafić widelcem do ust. Stale dziękowałem Bogu za to, że pomimo tak dostojnego wieku zachowałem jako taką trzeźwość umysłu. Nieraz widziałem przecież ludzi młodszych, którzy wariowali, tracili pamięć, odchodzili od zmysłów i mówili od rzeczy. Było to częste zwłaszcza w czasach kryzysu z lat 20. Słabe głowy poddawały się w obliczu traumy i silnych dysonansów poznawczych. Z drugiej strony to może i lepiej dla niektórych. Szaleństwo wyłączało im umysły i przez to mniej cierpieli. Tak sobie myślę, że gdzieś w podświadomości istnieje wyłącznik bezpieczeństwa, który uruchamia się w ekstremalnych sytuacjach, gdy ludziom nagle usuwa się grunt spod nóg. To z pewnością interesujący dla naukowców temat. Ja nigdy nie byłem naukowcem. Mogłem sobie tylko poteoretyzować. W każdym razie jajecznicą była bardzo smaczna. Osobiście uwielbiałem średnio ściętą.

Po porannej toalecie Natalia poinformowała mnie, że za chwilę spodziewała się przybycia do dworku Basi z dziećmi. Nic z tego nie rozumiałem. To oni nie mieli brać udziału w uroczystościach? A zresztą — po co zaprzętać sobie głowę tą sprawą? Za chwilę przecież dowiem się, co to znaczy od nich samych.

Pojawili się w samą porę, gdy byłem już kompletnie ubrany w marynarkę, spodnie i starannie wypastowane buty. Ubrania były nowe, ale w starym kroju, od którego nie potrafiłem się odzwyczaić. Gdy wchodzili do budynku na powrót siedziałem w wózku elektrycznym. Natalia stała po mojej lewej stronie. Drzwi były otwarte i słyszałem przez nie odgłosy powitania Basi przez pozostałą część służby. Co szczególnie pocieszające, doszły do mnie także popiskiwanie najmłodszej z rodzeństwa Eli, którą matka uspokajała, zwracając uwagę na to, gdzie jest. Przypominała mi moją żonę, po której odziedziczyła imię.

W końcu stanęli przede mną. Karol lat 14, Jaś lat 10 i Ela lat 7. Ostatnia dwójka prowadzona była przez Basię za ręce. Kochałem te dzieciaki, a one najwyraźniej to czuły i odwzajemniały moje uczucia. Po powitaniu błyskawicznie znalazły się obok mnie.

— Pradziadku, opowiedz nam o wojnie — tradycyjnie zaczął mały Jaś.

Nie zdążyłem nawet otworzyć ust, gdy odezwała się Basia:

— Jasiu, zawsze o to prosisz pradziadka. To naprawdę nie jest temat dla takich małych chłopców jak ty.

W tym momencie wtrąciłem się:

— Gdy byłem w jego wieku, przede wszystkim lubiłem słuchać o wojnie. Dziadek i babcia opowiadali mi historie ze swojego dzieciństwa, o czasach okupacji niemieckiej i sowieckiej. Z kolei wasz dziadek — tu zwróciłem się do młodych — był niewiele starszy od was, gdy zaczynał swoją walkę z demokracją.

— Pradziadku, opowiedz... — znów zaczął Jaś, błagalnie patrząc na mnie swoimi wielkimi, niebieskimi oczkami.

– No dobrze, ale tym razem tylko krótką anegdotę, bo za chwilę pojedę do sali kinowej. A tak w ogóle – tu zwróciłem się do Basi – dlaczego nie jesteście na uroczystościach w Warszawie?

– Mąż wraz z królem prosili mnie, abym Panu towarzyszyła. Nie chcieli, aby czuł się Pan samotny, zwłaszcza w tak doniosłej chwili.

– Dziękuję. A dzieci? Czy nie powinny stać teraz przy królu? – dopytywałem.

– Pójdziemy razem z Panem do sali kinowej, a to niemal to samo, gdybyśmy byli tam na miejscu. Przy władcy są Władysław z ojcem i to wystarczy.

Faktycznie! Zapomniałem, że dzięki technologii mogliśmy czuć się tak samo jak uczestnicy odległego wydarzenia, którzy brali w nim udział osobiście. Popatrzyłem na stary zegar. Chyba jednak pamięć zaczyna mi nieco szwankować.

– Już czas, chodźmy do sali kinowej – powiedziałem, po czym zwróciłem się do młodzieży – historyjkę o dawnych czasach opowiem wam po drodze.

Ruszyliśmy. Ja, Natalia i Basia z dziećmi. Korytarz nie był długi, ale wózek toczył się na tyle wolno, że miałem trochę czasu na opowieść.

– Skoro już poruszyłem ten temat – czy wiecie, czym różniła się okupacja niemiecka i sowiecka w latach 40. XX wieku? – zapytałem, odwracając się do idącego po mojej prawej Jasia.

– Tak, dziadziu – wyprzedziła go krocząca się po lewej Ela – mówiłeś, że okupacja sowiecka była znacznie gorsza.

– To prawda – przytaknąłem – była gorsza, gdyż Niemcy zabijali tylko polskie ciało, natomiast Sowietci, oprócz tego że zamordowali tysiące naszych, to niszczyli dusze i sumienia Polaków. Zaszczepiali im zbrodniczą ideologię marksistowską, która psuła naród jeszcze długo po tym, gdy ostatnie jednostki okupacyjne opuściły nasz kraj. Pomagało im to, że podszywali się pod prawowite władze i używali orla białego. W rzeczywistości w sporej mierze byli to importowani do nas Rosjanie i Żydzi.

– Kto to taki Żyd? Coś słyszałam na lekcjach, ale nie pamiętam – zapytała Ela.

– Żyd to członek pewnej specyficznej nacji, która myślała, że dzięki sile pieniądza i kłamstwa połknie cały świat. Obecnie ten lud jest na wymarcu.

Postanowiłem wrócić do głównego wątku.

– A mówiłem wam, czym różnili się zwykli Niemcy od sowieciarzy?

– Nie – odpowiedziały z zainteresowaniem dzieci.

– Opowiedziała mi o tym moja świętej pamięci babka jeszcze w latach 90. XX wieku, gdy miałem tyle lat, co wy teraz. Otóż Niemiec, gdy maszerował przez polską wieś i zobaczył bańkę z mlekiem, zabrał ją, wypił ile dał rady, a następnie odłożył na miejsce. Gdy tą samą bańkę zobaczył żołnierz sowiecki, wypił ile dał rady, a resztę wylał w błoto. Ponadto babka opowiadała, że najgorsi byli skośnoocy z Azji Środkowej, których nazywała mongołami. Potrafili oni zabić czło-

wieka za byle co, a terytorium Polski traktowali jak kraj podbity, który można było dowolnie rabować. Ludzie ukrywali przed nimi cały dobytek, a w czasie ich przemarszu nie mogli nawet piec chleba. Dlaczego? Bo gdy tylko sowieciarze zobaczyli dym unoszący się z komina, wchodzili do domu i czekali aż pieczywo będzie gotowe, by je zarekwirować. Pszenicy i mąki nie zabierali. Interesowała ich kradzież gotowego produktu. Można powiedzieć, że byli bardzo wygodni.

– Dobrze, że te czasy minęły – wtrącił kroczący nieco z tyłu Karol.

– To prawda – rzekła stanowczym tonem Basia – i oby już nigdy więcej taki los nie spotkał Polaków.

– Teraz wszystko zależy od was, kochani – zacząłem wyraźnie moralizować – musicie o tych sprawach pamiętać i dbać, aby Polska nie została znów wpłątana w podobną katastrofę dziejową, do której doprowadzili Józef Beck z Edwardem Rydzem w 1939 roku.

– Słyszałem o nich, pradziadku! – krzyknął doniośle Jasio, chcący popisać się swoją wiedzą – nauczyciel opowiadał nam o tym w szkole. Ci dwaj byli zdrajcami, którzy poświęcili Polskę w imię interesów Anglii i Francji.

– Dokładnie – kontynuowałem – wypuścili kraj na pierwszy ogień wojny światowej, przez co ponieśliśmy procentowo największe straty spośród wszystkich jej uczestników.

– A kto to Francja? – zapytała zaciekawiona Ela.

– Francja to taki historyczny kraj w Europie Zachodniej. Niegdyś była wspaniałym katolickim królestwem. Niestety przez rewolucyjną demokrację i inne patologie zniszczyła sama siebie i już od wielu lat nie występuje na mapie – wyjaśniła Basia.

Temat był z pewnością ciekawy i wart kontynuowania, ale oto dotarliśmy pod drzwi sali kinowej. Otworzyły się automatycznie, po czym wkroczyliśmy do rozległego, pustego pomieszczenia. Jego jedynym wyposażeniem był rząd kilkunastu krzeseł ustawionych w środkowej części. Moi goście usiedli bez słowa, cierpliwie czekając na uruchomienie transmisji. Sterowałem pomieszczeniem z kokpitu wózka. Po wciśnięciu odpowiedniego przycisku na okna nasunęły się rolety. Przez ułamek sekundy panowała kompletna ciemność, po czym uruchomiła się szara poświata oznajmiająca ładowanie systemu. Przed naszymi oczami ukazał się trójwymiarowy panel nawigacyjny.

– Natalio, czy możesz? – zapytałem.

Pielęgniarka wykonała odpowiedni ruch ręką, który spowodował, że wirtualne menu zbliżyło się do niej. Kolejne kombinacje uruchomiły sekwencję startu transmisji.

Podobał mi się ekran ładowania. W jego trakcie podłoga i ściany sali całkowicie zniknęły, a otoczenie widzów zmieniało się w przestrzeń kosmiczną. Przez

chwilę przemieszczaliśmy się z zawrotną prędkością między planetami i gwiazdami. Efekty obmyślonej przez naszych informatyków technologii hologramu były doprawdy zadziwiające. To właśnie dzięki takim wynalazkom polska myśl techniczna zyskała miano przodującej w świecie.

W końcu lądowanie dobiegło końca i znaleźliśmy się w odległej o kilkaset kilometrów Warszawie. Naszym oczom ukazał się widok placu Witolda Pileckiego (dawny plac Józefa Piłsudskiego) w czasie rzeczywistym. Ale to nie wszystko. Odpowiednia konfiguracja pomieszczenia zapewniała nam maksymalny realizm, zupełnie jakbyśmy byli w tamtym miejscu osobiście. Klimatyzacja dostosowała temperaturę pomieszczenia do tej, która panowała w stolicy, a specjalna lampa świeciła na nas z dokładnie tego samego kierunku, gdzie aktualnie znajdowało się słońce. Co pewien czas czuliśmy na skórze delikatny, chłodny wietrzyk, widoczny zresztą na gałęziach drzew stojących w oddali.

Obejrzałem się za siebie. Stał tam gigantyczny tłum Polaków. Piękne, zdrowe i uśmiechnięte twarze wskazywały na autentyczną radość z wydarzenia. Byli starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety. Gdzieś nad głowami ojców unosiły się rączki małych dzieci, machające biało-czerwonymi chorągiewkami. Narodowe barwy widziałem też na rękawach i policzkach części zebranych. Widok był naprawdę budujący. W powietrzu czuć było dumę zebranych tam ludzi. Dumę z bycia członkami naszej wielkiej wspólnoty narodowej. Potwierdzało to słuszność wprowadzonych kilka dekad temu doktryn „państwo minimum” oraz „Polak panem na swoim”. W ich ramach władze nie ingerowały w prywatne życie poddanych, skupiając się wyłącznie na zapewnianiu im bezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego. To wystarczyło, aby odbudować siłę gospodarczą i demograficzną polskich rodzin.

Widok naprzeciwno mnie był nie mniej interesujący. Przed majestatycznymi pomnikami Tadeusza Pawelkiewicza i Jana Burzyńskiego, stojących po obu stronach Grobu Nieznanego Żołnierza znajdowała się okazała trybuna, udekorowana w narodowe barwy. Przed nią miejsce zajmowała grająca pieśni patriotyczne orkiestra wojskowa, a po bokach kompanie reprezentacyjne poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. Podobały mi się zwłaszcza mundury marynarki wojennej i piechoty morskiej. Nieco po prawej stali przedstawiciele władz z królem na czele. Tuż przede mną znajdował się rząd krzesel, na których zasiadali przebrani w okazałe stroje weterani wojny domowej. Dochodziła godzina 9:00, gdy orkiestra przestała grać, a z trybuny odezwał się elegancko uczesany spiker. Wypowiedział zaledwie dwa słowa:

— Do hymnu!

Trzasnęły żołnierskie buty, a z piersi wydobył się potężny, basowy śpiew. Wtórowały mu zebrane na placu i w okolicznych uliczkach tłumy zwykłych Polaków.